ŻYCIE

ROCZNIK I. ZESZYT XIII.

DNIA 24. GRUDNIA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

GUSTAW DANIŁOWSKI.

NASZA CHOINKA.

Pomiędzy Modrzejowem, Mysłowicami i Sosnowcem zbiegają się słupy graniczne panowania Austrji, Rosji i Prus.

Przybite do nich potworne orły bratają się swymi drapieżnymi skrzydłami i pięć czarnych głów wpatruje się czujnie w miejsce, gdzie się zrastają zabory Polski, rozdartej kordonami straży w zielonych lampasach, straży w pikelhaubach i w sztywnych, wysokich kaszkietach.

— Kto idiet?!

— Wer da?! — pyta groźnie władca.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odpowiada pokornie niewolnik.

Okolica tu płaska, zawalona kadłubami stękających nieustannie fabryk, wybujała wieżycami kominów, oplątana szynami kolei, kurzawą czarnego pyłu duszącego, obłokami dymu spowita — czarna od węgla, od rud żelaza rdzawa.

Ziemia jakby z zwartego kiru i skrzepłej krwi złożona — tym bogata.

Przychodzi po ten łup do niej z dalekich stron obcy, robić sobie pieniądze.

Ściągają ze wszystkich krańców Polski chłopi, by tu urabiać sobie ręce.

Pierwsi zyskują dywidendę, drudzy — śmierć pod płotem...

Taka już dola!

Mizernie tu lud wygląda, ale jeszcze nędzniej i obdarto jego ziemia.

Wygorzała jej zieleń, wychlustane lasy, wytrzebione bory, uschły złote łany falującego zboża — lemiesz, który równo układał jej skiby, skręcił się w świder, by wyborować głębokie

sztolnie, podkopać je długim chodnikiem, poszarpać z wierzchu, potłuc wnętrze kilofem, wystrzelać dynamitem i wypatroszyć ją do cna.

Grunt jej zaklęsł się miejscami, jak pierś suchotnika, połupał się w rozpadliny, wzdął się warpami, jakby olbrzymim kretowiskiem żyjących pod spodem górników — jałowy, próżny wydał hołdy kamieni pustych, kopce płonnego iłu, na którym badyl nie porasta, ptak nie zaśpiewa, nie złoży motyl tęczowych skrzydeł...

Rzeki niema, ale wypędzona woda zaskórna tworzy grząskie topiele i brudne zalewy, w których najbielszy obłok wygląda jak zmięta szmata, a gorejąca gwiazda jak mętne oko oliwy.

I choć kipi tu praca w dzień i w noc, pejzaż czyni wrażenie niezmiernie smutne, przygnębiające, senne i umarłe.

Czuć ból zabity w sponiewieranej ziemi, w steranych twarzach, w starganych ramionach...

W panującym ruchu słyszy się jakiś takt mechaniczny, martwy zgrzyt nieubłaganego koła, które bezlitosną potęgą trybów zaczepia o wszystko, co żyje i wpędza w płonące czeluście hut, w wieczną noc szybów, gdzie ślepną konie i skarbnik porywa ludzi.

Tak trwa rok cały, ale w przeddzień Bożego Narodzenia grzmot pracy zacicha, pod wieczór milknie i tylko topielnie żelaza, które nie znają spoczynku, sypią iskry i mieczami bladego ognia rozcinają łono ciemności.

Tak jest i dziś w wigilję.

Zatrzymało się nieustanne kucie, uśmierzył się tartas i wark, i noc odzyskała dawną potęgę swej ciszy, majestat spokoju, władzę czaru, moc stwarzania marzeń i snów, którymi u wezgłowia najbiedniejszej sieroty stawia jarzącą choinkę.

Więc i Polsce w tym miejscu właśnie, gdzie zrasta się jej ciało, między Mysłowicami, Sosnowcem i Modrzejowem wybrała świąteczne drzewo.

Była to stara, olbrzymia choina, rozszczepiona u dołu piorunem. Supły jej pokręconych korzeni, rozłożyste konary, nie znając granic, poprzerastały poza kordony i w zdrowym rdzeniu jej pnia krążyły soki trzech dzielnic.

Wysokopienna, potężna, wznosiła się wspaniale na kobiercu prastarych mchów i stosie szyszek, które usypała sobie w ciągu wieków.

Nielada musiał być wicher, by nią wstrząsnąć, nielada śnieg, by ugiąć jej gałęzie, a teraz drżała jak wątła osika, choć cicho było i odwilż.

Okrutnym dreszczem przejmowały ją nagromadzone u stóp upominki, gorzkie dary, szydercze gwiazdkowe prezenty.

Była to pruska laurka: powinszowanie wywłaszczenia, zsiekane pęki rózg, zastygła struga łez dziecięcych, tablice do mimicznych wieców, cygańskie wózki dla chłopów, stenogramy nikczemnych mów panów, figurka Korfantego z napisem „sprzedany“, portret Róży Luksemburg w tandetnej oprawie jej wielbicieli i inne drobiazgi pruskiej marki. Ze swojskim stemplem walała się skrzynia reformy wyborczej, skrępowana mocno sznurem, opieczętowanym sygnetami szlachty, obok owinięte w „Słowo polskie“ trąbki i gwizdawki rusińskie, jakby kanalik drewniane koryto, pełne niebieskich migdałów, i w kształcie domów ludowych lukrowane przez radę miejską figowe pierniki.

Najpokaźniej jednak przedstawiały się datki, złożone Królestwu: fura kłódek do zamykania ludzi i instytucji, rozmaitego typu kajdanki, zwój stryczków, wycinki „Młota“, kosz kukiełek litwackich, utwór Romana Dmowskiego w czterech językach, koło-wiatraczek obracające się w próżni, skrzep bratniej krwi i bohaterskie zwłoki ze stoków Cytadeli, z bruku Łodzi, Radomia, Warszawy, z tundr i tajg — okropne trupy, postrzelane, poduszone z rozłupanymi czaszkami, które się tu przywlokły i usiłowały powstać, by przełamać się raz jeszcze opłatkiem, ale dźwignięte, zapadały się w ziemię i wczołgiwały się napowrót w męczeńskie mogiły.

Wzdrygnęła się boleśnie choina, aż zapełgały żółte światła kilku, jak na urągowisko, przylepionych gromnic, by jaśniej było widać upominki Polsce złożone...

Na blask świec zlatywały się zewsząd nocne ćmy, nadciągały stada kruków, kawek i wron i czyniły gwar i giergot jak za Żelazną Bramą, lub na księżym odpuście. Pomiędzy czarnym mrokiem uwijaly się wygadane sroki, czyniąc iście dziennikarską wrzawę.

— Precz z Polską! — kwiliły kawki.

— Polska w Rzymie! — krakały kruki.

— Polska to my! — skrzeczały sroki, aż się zbuntowała olbrzymia choina, wstrząsnęła się i raptem jakby zastygła: pień jej stężał, zesztywniały wszystkie gałęzie, nastraszyły się srogo igły i stało się niezmiernie cicho.

Zamarło ptactwo, pierzchły ćmy, przygasły gromnice, a gwiazdkowe prezenty jakby przywarowały do ziemi.

Z królewskiej korony począł się sączyć czerwony ogień, nie do zwiewnego światła podobny, ale do krwawej miazgi, która jakby wyłaniała się ze rdzenia do ruchomego szkarłatu, który wzdymał się, zwijał i rozwijał, a w fałdach jego migotały płomienne zgłoski, jak wytryski świeżej, płynnej krwi.

Łopotał, niby wyrywający się gwałtem z usidleń purpurowy ptak, szarpał się mocno, podniósł wysoko i ogromne skrzydło na pół nieba aż po horyzont rozwinęło się w gorejący sztandar ze świetnym płomiennym zawołaniem — niepodległość!

Zajarzyła się wspaniale jego jaskrawą łuną polska choina, zajęły się tablice graniczne, zatliły się szydercze podarunki.

Na alarm tego pożaru wypadły z domu ludu rzesze przypatrzeć się swojej gwiazdce i uniesiony tłum robotniczy buchnął olbrzymim głosem na cały świat kolędę:

„Bóg się rodzi — moc truchleje...“

A od potężnego jej głosu leciały w drzazgi malowane orły, rozsypywały się, jak próchno i padały słupy, podnosił się zapalny wicher, stukał we wrota wiosek, bił w bramy miast, szumiał po strzechach, po szybach brzęczał, po dachach dzwonił — rozruchem i szczękiem napełniała polską ziemię.

Śpiew grzmiał, rosły tłumy, szły i szły po gwiazdkę własną.

Tej gwiazdki dożyć, taką gwiazdkę sobie sprawić — życzy Wam, Czytelnicy, „Życie“ nasze, łamiąc się wigilijnym opłatkiem.

Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

REFLEKSJE.

Dobiega do kresu rok 1910. Kończy się także pierwszy wstępny okres pracy, jaką zakreśliło sobie nasze skromne pismo, budzące polską myśl niepodległą,..

Rok grunwaldzki sprowadził przed kilku miesiącami na błonia nadwiślańskie u stóp Wawelu tysiączne rzesze polskie, które chciały pokrzepić swe smutne dusze odblaskiem minionej chwały, a w głębi żywiły iskierkę nadziei, że tam znajdą także ów znak tajemny, co daje i hasło i siłę i prowadzi do zwycięstwa.

Te rzesze szły samorzutnie. — Urzędowi wodzowie narodu długo, długo wzdragali się przed akcesem do tego gromadnego, jawnego buntu szczerej myśli polskiej. Książęta kościoła, ci, którym powierzono rząd dusz, nie wiedzieli, czy godzi się tak ryczałtem zwalniać naród od przysiąg wiernopoddańczych, gwałtem narzuconych, dygnitarze z lękiem spoglądali na swe wstęgi różnobarwne i błyszczące gwiazdy u boku, nadane za wierne służby...

Niech uroczystość odbędzie się poważnie i w milczącym skupieniu ducha, niech naród posłucha modlitwy za tych, co przed pół tysiącem lat swe życie za kraj nieśli w ofierze! — oto godne uczczenie rocznicy grunwaldzkiej, nikogo nie drażniące i nie wiodące nas na niepotrzebne pola szowinistycznych demonstracji, tak mówili wreszcie najwięksi, wytrawni politycy...

I szła tak fala lęku i wahań i szeptów nieśmiałych i skutecznych nieraz namawiań...

I okrojono wszystko, co się okroić dało i wyrosły różne improwizowane hołdy po nad Grunwald i po nad nieśmiertelnego Jagiełłę i zabrakło wielu słów, które paść tam były powinny i prócz ofiarnego daru artysty nie urodził się tam żaden czyn, którego naród pożądał!

A jednak! A jednak była wówczas chwila przepotężna, wspaniała, a jednak wbrew krakaniom wrogów wolności i wbrew przepowiedniom naszych Kassander udała się jedna wielka niespodziewana i nieoczekiwana manifestacja: Drgnęła dusza umęczonego narodu w jednej chwili w potężny, zbiorowy akord, przełamała granice wszelkich ziem i zaborów i odetchnąwszy głęboko ze zbolałej długim cierpieniem piersi zawołała potężnym głosem: Nie zginęłam! Chcę żyć i muszę żyć!

I oto stała się rzecz niekoniecznie przedtem oczekiwana a dla wielu wcale nie pożądana:

Szły karne zastępy Sokołów bez końca, zjawiły się barwne sukmany włościan i olbrzymi szary tłum rzeszy robotniczej i pokazał się cichy, milczący szereg tych, którym mówić nie wolno i żałobny orszak innych, którzy tak często muszą przyoblekać czarne, żałobne szaty, ukazali się także z za oceanu przybrani synowie gwiaździstego sztandaru, a wreszcie ruszyli spo-

rą garścią rajcy miejscy i posłowie, kontuszowcy — wodzowie narodu ci także, których dusze jeszcze niedawno były pełne lęku, a którzy przecież w stanowczej chwili zaprzeć się swego narodu nie chcieli.

Szedł ten naród i z gór tatrzańskich i z nizin sarmackich, z nad Warty i z nad Wisły, z nad Dniestru i z nad Niemna, zespojony w jedną wielką gromadę, która uczuła jedną zbiorową swą duszę, jedno nieśmiertelne tchnienie, prowadzące na wyżyny wyzwolenia!

Jedna dusza — zbiorowy, jednomyślny hołd nieśmiertelnej postaci tego, który wszystkich ongiś zgromadził razem do wielkiej walki przeciw wspólnemu wrogowi.

Zwyciężył O n — zwyciężymy i my, jeżeli pójdziemy razem, jednomyślnie bez lęku i wahań. Oto myśl, która ożywiała wszystkich zebranych tam w zgodnym ordynku na jasnych błoniach nadwiślańskich, i u stóp nieśmiertelnego króla-pogromcy.

Takim było nasze, nowe w tych pięknych dniach lipcowych zwycięstwo. Zwyciężył czyn tych, co nie mieli ni lęku, ni wątpliwości w swej duszy, co poszli i składać hołd i dawać jawny wyraz protestu przeciw gwałtom i przemocy, świadectwo niezwyciężonej jedności narodowej.

Ci bez lęku pociągnęli za sobą i dusze biedne, zmęczone czy przybite nadmiarem cierpień, trwożne czy może wśród ciągłych zmagań zbyt ostrożne o dalsze losy narodu, wahających i niepewnych, rozbitków luzem idących i małych — słowem cały naród.

Niespodzianie stała się rzecz wielka. Zebrani spojrzeli po sobie, roztajała w nich dusza. Poznał brat brata i z za rzek i z za gór i ten i ów policzył kroczące szeregi i ogarnął okiem i błonie i drogi i naraz poczuł tę siłę żyjącego, zbiorowego organizmu. Wszak nas tu nie lada gromada, — wykrzyknął zdumiony nawet ten z najlękliwszych i od razu poczuł w sobie i moc i siłę. Oto, teraz to już chyba nie damy się, powiedziała wnet refleksja, spokojna, mierząca okiem znawcy te wspaniałe szeregi, samorzutnie zebrane, a kroczące tak karnie bez żadnych obowiązkowych straży pod jednym hasłem, po jednej drodze.

Ta rozbudzona świadomość siły narodowej energji, pchającej ogół zwycięsko i wbrew wszelkim przeszkodom ku jednemu celowi — oto zdobycz tegorocznego święta grunwaldzkiego.

Echa wielkiego święta poszły czy z wolą, czy też raczej wbrew woli naszych niepowołanych opiekunów nie tylko w nasz naród, ale poszły także po różnych krajach i ludziach.

Echa, jak zwyczajne echa odbiły się to tu, to tam, odgłosem to silniejszym, to słabszym, powoli cichły i zgasły...

Szara nić codziennego żywota, żywota pracy zwyczajnej, zaczęła monotonnie rozwijać się z przędzy ziemskiego koliska. Jakieś sejmy, jakieś prawa, jakieś sądy, jakieś szkoły, jakieś mowy, jakieś pisma — ot zwyczajna strawa w dzień powszedni, kiedy święta przeminęły.

Zwyczajna strawa?! — tu właśnie brzmi gorzka nuta ironji.

Uczestnikom grunwaldzkiego święta nie wolno jeść własnej strawy, tej, która ich tak pokrzepiła na nadwiślańskim błoniu.

Los kazał im pójść na trzy strony świata i brać udział w jakichś tam parlamentach, gdzie im zawsze wytykali i wytykają, że są niewolnikami, że dla nich tylko ochłap lub kopnięcie nogą!...

Jakby dla otrzeźwienia po grunwaldzkim święcie w trzech stolicach świata ozwały się znamienne ostrzeżenia pod adresem Polaków.

Naturalnie pierwszym był Berlin po staremu. Pogroził batem wywłaszczenia, z lekceważeniem odparł skargi Mielżyńskiego na stronniczość sądownictwa w obec Polaków, a przez usta sekretarza stanu Delbrücka ze spokojem przeforsował w ustawie o izbach robotniczych zasadę „uprawnieni do wyboru są N i e m c y obojga płci!

Jakżeż miłym echem odzywa się słowiański akompaniament Petersburga! Idą rozprawy szkolne, sprawa samorządu ziemskiego, wyodrębnienie Chełmszczyzny. Puryszkiewicze i Eulogjusze uderzają w najwyższe tony miłości i w gorących uściskach bratnich doduszają zgnębioną ofiarę.

Wreszcie odzywa się i Wiedeń, ten Wiedeń, dla którego tyle ofiar ponieśliśmy i ponosimy ciągle, pragnąc przynajmniej tutaj uzyskać warunki znośnego życia.

Ten właśnie Wiedeń przez usta swego burmistrza rzuca nam w twarz dumne wyzwanie: „Nie damy prezentów dla Polaków, precz z kanałami dla Galicji!“

Hasło leci między serdeczne przyjacioły. Rośnie fala sztucznego oburzenia, krzyku, gniewu, zazdrości, a może i lęku. A na dnie tych krzyków jedna tajona myśl: niewolniku, dźwigać się tobie nie wolno, tyś skazany na pracę tylko dla drugich.

— — — — — — — — — — — —

Oto ocknienie po święcie Grunwaldzkim. To twarda rzeczywistość, którą właśnie przeżywamy a fakty te zaszły nie dawniej, jak wczoraj, tej jesieni, w trzech parlamentach, w których współcześnie i Polacy na równi jakoby z innymi obywatelami zasiadać mają prawo, celem zdobywania pospołu z innymi dla swego narodu korzyści materjalnych, kulturalnych i innych... I oto co zdobyli w tak szybkim tempie, na tylu polach pracy wśród obcych?!

Uparta myśl mi szepce: To odwet za święto lipcowe, za ten tajemny lęk przed budzącą się siłą przydeptanego niewolnika.

A jednak ta myśl, ten odwet, te krzyki i tu i tam, to nasza radość, to nasze nadzieje na przyszłość.

Koło dziejowe toczy się znowu wartszym pędem. Przez jedną noc runął niedawno jeden tron tam gdzieś nad Atlantykiem, tron, co oparty był na krzywdach i niesprawiedliwościach. W ślad za tym najpotężniejsi z potężnych odważyli się tylko wśród bagnetów i szabel wychylać swe głowy na świat boży, a dumnego cezara Germanów nie tylko właśni ziomkowie poważyli się krytykować i wychwalać sztandary republikańskie, ale nawet obcy przywitali w Brukselli groźnym przypomnieniem: *Vive la Pologne*!

A równocześnie rusza się stary Albion w swych posadach i próbuje odmłodzenia podstaw konstytucyjnych, a równocześnie przedstawiciele proletarjatu w Frankfurcie nad Menem i teraz znowu w Londynie entuzjastycznie witają apostołów braterstwa ludów!

Świta więc zaranie nowej ery, przyjdzie dzień i dla nas. Tylko stańmy znowu razem, pospołu, jak w pamiętny dzień święta grunwaldzkiego i pamiętajmy o tej wiekuistej, nieśmiertelnej prawdzie.

Przyszłość zdobywa się jedynie własnym znojem i trudem, własną bronią, własną pracą!

Idźmy więc bez lęku i wahań ku naszemu celowi po naszej, własnej drodze!

ADAM PŁOMIEŃCZYK.

FETYSZE IDEOLOGICZNE.

Jest dziś rzeczą niewątpliwą, że praca ideowa nielicznych do niedawna ludzi, którzy starali się polską myśl polityczną skierować ku afirmacji czynnego patryjotyzmu, czyli ku ideologji niepodległościowej, zamieniła się już w prąd potężny. I dostrzec dziś się daje zjawisko naturalne: dzisiejsi publicyści, czując za sobą siłę przekonania szerokich mas, przestają już dziś być jak dawniej ostrożnymi w motywacji swojego stanowiska, nie czują potrzeby precyzowania swoich argumentów, którymi do niedawna starali się jeszcze jak gdyby samych siebie przekonać i umocnić. Przeciwnie. Zasady niepodległościowej ideologji stają się tak popularnymi, że coraz częściej dostrzegać się daje poczucie, że właściwie nie potrzebują one żadnej argumentacji, że rozumieją się niejako same przez się.

Tkwi w tym niebezpieczeństwo. Każdy program polityczny opierać się musi na jak najściślejszym porozumieniu się jego wyznawców, bo działanie praktyczne, nasuwające z każdą chwilą coraz to nowe zagadnienia szczegółowe, zbyt prędko wykazać może, że wspólność ideowa polegała tylko na wzajemnym niezrozumieniu. Motywacja programu ma na celu nie tylko przekonywanie i pozyskiwanie zwolenników; motywacja jest przedewszystkim interpretacją.

Uwagi niniejsze mają charakter polemiczny. Zbyt często w postępowej publicystyce naszej pojawiać się zaczyna ujmowanie patryjotyzmu jako uczucia przyrodzonego, a w VI. zeszycie „Życia“ czytaliśmy artykuł p. Jenerałowicza „Z Warszawy“, który można uważać za typowy wyraz takiego stanowiska.

Pisząc o kwestji żydowskiej, wyraża autor sąd, że patryjotyzm u Żydów „zjawiał się jako racja stanu, ale nie jako żywioł“. Nie chodzi tu o kwestję żydowską, nie chodzi też o dociekanie, z jakich pierwotnych zaczątków zrodził się patryjotyzm: być może, że instynktowne przywiązanie do ojczystej ziemi, ojczystego krajobrazu, rodzimej mowy i zwyczajów jest jego pierwotną formą. Chodzi nam o patryjotyzm, który jest motywem działania. Ten nie może być już dziś tylko żywiołem — a musi być „racją stanu“. Musi być umotywowany rozumowo, a od tej właśnie motywacji zależy jego istota i jego czynne kwalifikacje.

Z tego że „*jesteśmy* Polakami“ zgoła nic jeszcze nie wynika. Czyn nasz jest określony tym, czym *być mamy* i czym *być chcemy*. I tym wyznacznikom działania, tym ideałom i wartościom musi być narodowość nasza podporządkowana jako kulturalny rezultat pracy i jako organ pracy dalszej. A wszelki ideał działalności musi być ogólnoludzki; jeśli tylko zamyka się w jakichś granicach, poza które wyjrzeć nie chce — przestaje być ideałem. Ideałem działalności społecznej jest wyzwolenie człowieka pracującego z niewoli władającej nim własności, czyli usamowolnienie pracy. Naród jest wytworzoną przez dzieje formą kulturalną, poprzez którą wszelka historyczna działalność się przejawia, jest zbiorowością, z którą jednostka działająca czuje się współodpowiedzialną na mocy łączących ją z tą zbiorowością węzłów kulturalnych, przyrodzonych (n. p. ziemia) i ekonomicznych. Dla tego wyzwolenie narodu t. j. uwolnienie go od więzów obcego narodu i obcego układu sił społecznych jest koniecznym warunkiem zdobycia terenu dla współodpowiedzialnej działalności w celu zdobycia ogólnoludzkich wartości. Kto wierzy na serjo w człowieka i jego pracę, ten musi w ten sposób patryjotyzm *motywować*. Podawanie go za żywioł i stawianie w ten sposób ponad rozumowaniem jest to stwarzanie fetysza, który od czynu uwalnia, lub uwalnia od odpowiedzialności za czyn.

Reakcyjni politycy na emigracji uważali naród za stworzoną przez Boga formę, niezależną od bitew przegranych i uchwał kongresów dyplomatycznych; dzisiejsi narodowo-demokratyczni ugodowcy uważają niepodległość za ideję moralną „nie podlegającą dyskusji“, — niechajże rewolucyjnie myślący postępowcy nie robią z narodu fetysza, bo przez to zbytnie nabożeństwo zbyt łatwo wyrzucą go poza realny program działalności. Nie w tym rzecz, że „*jesteśmy* Polakami“, że nasz patryjotyzm „*musi być*“, lecz w tym, że jako Polacy jesteśmy odpowiedzialni za pracę, wartości ogólno-ludzkie mającą na celu, w obrębie naszego narodu; nie w tym rzecz, że esdeccy politycy marzą „o jakiejś ludzkości abstrakcyjnej“, lecz w tym, że na urojone barki tej ludzkości, na urojone tendencje historyczne spychają odpowiedzialność za rozwój społeczny Polski. Bo urojonym jest wszystko to, co nie staje się przedmiotem samowiednego czynu naszego, — fetyszem jest wszelki „żywioł“, który nas w działaniu ma wyręczać, — a w rezultacie jest tylko formułką, która sankcjonuje nasz bezczyn.



JADWIGA SARNECKA.

IMPRESJA.

Przed kilku dniami zwróciłam komuś klucz od mieszkania, które jest prześliczne i w którym spędziłam dawniej wiele godzin. Rzecz jest za małoważną, by o niej pamiętać. Klucz został mi wręczony przed trzema laty — i odtąd musiałam wciąż troszczyć się, by nie uronić go kędyś i nie zaprzepaścić. Jestem dość roztargnioną i mogło się to zdarzyć. Obecnie nie posiadam go i pamięć moja wolną jest od utrapień.

Chwilami żal mi troski tej i utrapień. Jest to nader gnębiące uczucie i myślę, że wywołane przez nieznośny upał, jakim darzy nas obecnie lato. Gorący, upalny czas rozstraja nerwy i sprawia, że najbłahsze zdarzenie zdolnym jest nękać. Moje nerwy są przytym wyczerpane uciążliwą pracą, której oddawałam się przez parę lat ostatnich. Naprawdę dobrze jest, że ciągła obawa o ten klucz została mi odjętą.

A jednak cieszyłam się, gdy mi go dano — i przypominam sobie uśmiechy tych, co byli przy tym obecni — potem już — upłynął długi czas — i nie rozstawałam się z tym kluczem nigdy.

Tak bardzo ceniłam sobie zaszczyt posiadania tego małego Wertheima. Dla tego zapewne, iż zaszczyt ten schlebiał mojej artystycznej próżności nie rozstawałam się z moim kluczem. W dzień — spoczywał on na biurku w ładnej, czarnej szkatułce. Na ulicy miałam go z sobą w przedziale małej portmonetki. W przedziale tym leżały również uschnięte liście pewnej róży.

Zasypiając budziłam się nieraz i biegłam sprawdzić, gdzie leży mój klucz, czy nie zaprzepaściłam go śród przygód dnia.

Było to osobliwie nużącym — takie ciągłe troszczenie się o mały klucz i dobrze, że się skończyło.

A jednak... cieszyłam się gdy mi go dano — i potym. Teraz myśl o nim przypomina mi pewne błękitne poranki niedzielne i kolorowy tłum, snujący się wśród ulic, którymi szłam do mieszkania, przywodzi mej pamięci czar godzin w mieszkaniu tym przepędzonych... samotnych godzin milczenia.

Raz zgubiłam ten klucz. Stało się to na szerokiej, wołyńskiej drodze, na drodze od białego piasku pylnej, wśród rozpadlin spękanych — pamiętam ów dzień.

Droga wiodła przez okolicę, w której szerzył się postrach i odjeżdżaliśmy stamtąd w pewnym nawet popłochu, ale ja zgubiłam klucz i zatrzymałam się, by go odnaleść. Szła noc. — Na niebie rozpalały się na okół widne łuny pożaru. Z za lasu biegł gwizd pociągu — ostatniego już, którym jeszcze można było odjechać. Zapomniałam o tym. Schylona nad drogą, błądziłam, szukając mego klucza. Co za radosne uniesienie, gdy udało mi się go znaleść...

A jednak... mało mi na nim zależało, skoro obecnie zwróciłam go świadomie i z rozmysłem. Inaczej, czyliż byłabym to uczyniła?... Nikt mi tego nie kazał.

Zdarzenie to pragnę sobie uprzytomnić, ale wiem o nim bardzo nie wiele, dlatego myślę, że musiałam być naonczas trochę znużona, czy senna. Pamiętam kopertę, do której włożyłam list z kluczem i że idąc potrząsałam nią kilkakrotnie i zawsze wyczułam pod palcami nagły chłód stali.

Mój mały Wertheim był w tej kopercie i w tym liście. Ale potym — i gdy doszłam już do rogu ulicy, przy której stoją posłańcy, zaczęłam się wahać, któremu z nich powierzyć mam swój list. Przechadzałam się tak, podczas gdy ci i owi z pośród nich, widząc mnie z listem w ręku, poczęli mi się kłaniać. Wtedy nie mogłam jeszcze... i dopiero... gdy minął pewien czas.

Wieczorem zaś dnia tego, byłam u jednej z moich znajomych — i rozmawiałam z nią — i mówiłam przytym rzeczy nie mające sensu. Nie miałam już z sobą mego klucza.

Niekiedy, chcąc sprawdzić rzeczywistość, otwieram czarną szkatułkę w której leżał on dawniej, a w której chowam też listy i klejnoty... Wśród pereł i złota szukam pilnie małego Wertheima. Nie znajduję go i widzę, że rzeczywistość moja nie jest snem.

Cała sprawa zresztą za mało jest ważną, by o niej pamiętać. Klucza tego nie posiadam już i mieszkanie jest dla mnie zamknięte. Zaprzestanę spędzania w nim godzin.

W słoneczne błękitne niedziele — pójdę gdziekolwiek bądź, gdzie sama zechcę... na błonia... lub do lasu...! Kocham las — i myślę, że... u licha! w pobliżu tego miasta musi gdzieś znajdować się las.

A potym przyjdą godziny, słoneczne, popołudniowe godziny — i cudne godziny zmroku. W głębi mieszkania otworzą się wrzeciądze wrót straż trzymających dziwom i królewnie bajce. Roztworzą się i opadną. Wszystkie zaczarowane sny o szczęściu i sny o potędze, których daremnie szukać po rozległych drogach ziemi — po wszystkich błoniach i po przez mrok wszystkich lasów zjawią się tam... Oglądałam to nieraz żywymi oczyma.

Kilkakrotnie już od czasu, gdy nie mam klucza, przechodziłam koło mieszkania. Drzwi balkonu były zawsze otwarte i mogłam przez nie spojrzeć do wnętrza. Nie uczyniłam tego, albowiem cóż mię to może obchodzić i po cóż mam patrzeć ku rzeczom, które widziałam już dawniej? Spoglądam na wieże wznoszącego się opodal kościoła. Kościół ma wieże mknące ku błękitom. Nigdy jeszcze nie znudziło mi się patrzeć na nie.

„Przed kilku dniami zwróciłam komuś klucz od mieszkania“. Tyle jest słów historji, która nie przedstawia się ani dość poważnie, ani dość zajmująco, by o niej pamiętać. To, że przestałam się o ten klucz troszczyć, jest dla mnie ulgą.

Ubiegłej jesieni, przed wyjazdem oddałam ludziom do przechowania trochę gratów. Jedni mają moje książki, inni albumy i fotografje. „Mój przyjaciel“ urocza panna Wanda B..., chowa u siebie drogie mi weneckie lustro. W pokoju moim stoją nierozpakowane dotąd skrzynie a znajdujące się w nich przedmioty miały go wielce upiększyć. Już się to nie stanie. — Dlatego, że gdybym nawet zebrała wszystkie moje rzeczy, to i tak nie byłoby między nimi małego Wertheima. Ja zaś myślę, że jeśli w życiu zabraknie nam „j e d n e g o“, to nie warto troszczyć się o „w s z y s t k o i n n e“. Zawsze tak myślałam i pogląd ten stosuję nawet w rzeczach mniejszej wagi.

Zresztą — nudzą mnie już te rozmyślania — wciąż o jednym, małym kluczu. Zwróciłam go, gdyż zdawało mi się, że chcą mnie lekceważyć. Napisałam list i odesłałam go wraz z kluczem — później otrzymałam odpowiedź (ale Wertheima nie odesłano mi...) i pisałam znowu. Rzecz zatym miała przebieg nader prosty, nader zwyczajny.

Tymczasem zapodział mi się kędyś srebrny medaljon. Nosiłam go na sobie długo — i na wiele przedtym, zanim dano mi klucz. Dobre kochane ręce włożyły go na mnie. Do dziś pamiętam cudne oczy, które kochały mię — przez mgnienie — i uśmiech tkliwych ust. Sen co zgasł rychło!...

Medaljonu tego nie pragnę już odnaleźć. Naturalnie wiem, że nie pragnę go odnaleźć dla przyczyny tej, o której wspominałam, mówiąc o moich gratach, ale dziwne jakieś, tajemnicze wzruszenie mówi co innego... Mówi ono, że klucz, który został mi dany wiele później od medaljonu i ostatnio już po wszystkim co dało mi i przyniosło życie, treścią znaczenia swego zjednoczył, podniósł i uzupełnił wszystkie one „p r z e d - t y m“ mego życia, wszystkie jego dążności, symbole, ideały — i zdarzenia. Teraz — odchodząc, zabrał z sobą duszę tego wszystkiego — duszę mojego światła! duszę moich pożądań! duszę mego bólu! Dlatego nie zależy mi już na medaljonie, jak nie zależy mi na rzeczy umarłej — i nie pragnę go odnaleść. — Dlatego nie zależy mi na wszystkim innym... na moim szczęściu... i na moich gratach.

To szepce mi dziwne ono wzruszenie tajemne... ale ja śmieję się, bo wiem, że szepce mi to moja rozbudzona wrażliwość — i że klucz po za tym, iż zaszczyt posiadania go ceniłam sobie wielce, był mi obojętny.

„Tyle jest słów historji“. Teraz oto śliczny mamy, błękitny poranek niedzielny. Siedzę sama w parku nad wodą — i patrzę na płynące cicho fale. Jestem wesołą. Od fal idzie świeży wilgotny chłód. Opodal rośnie biała brzoza. Liście jej są srebrne, jak gdyby prześwietlone od jasnego błękitu i od słońca. Gałęzie brzozy tej chylą się i drżą liście, jak gdyby szeptać chciały. Jestem szczęśliwą i myśli moje mają pogodny bieg fal. Marzę oto, że poranek jest śliczny, więc na ulicach miasta snuje się może różnokolorowy tłum ludzi, w chwili tej szczęśliwych zapewne, bo czyż podobna nie czuć szczęścia w cudny ten poranek niedzielny. Potym — marzę jeszcze o godzinach czaru i milczenia, które dawniej zdarzyło mi się przepędzić — w mieszkaniu pewnym.

Park, w którym się znajduję, jest piękny. Ogromnie mnie w nim pociąga ta rosnąca opodal biała brzoza. Jest mi dobrze. Jestem szczęśliwą. Chwilami tylko, gdy gałęzie brzozy chylą się, gdy drżą liście, jakby szeptać chciały... Nagły dotkliwy ból ściska me skronie, a od bólu tego spływa chłód aż do serca. Czyni mi się słabo i przypominam sobie, że jestem zmęczoną, gdyż w ciągu ostatnich lat pracowałam usilnie. Wtedy marzę jak dobrze byłoby odpocząć... Z przesyconej światłem przestrzeni wyłania się i płynie ku mnie myśl pewna... ale nie powiem o niej — nikomu...

Kraków, sierpień 1906 r.

WITOLD BUNIKIEWICZ.

»OSTATNI HUSARZ KRÓLA JEGOMOŚCI«.

KOMEDJA W TRZECH AKTACH. FRAGMENTY.

AKT I-SZY.

ROTMISTRZ.

Jaki mi śmiałek stanie na zawadzie
i gdzie ten rywal, co czołga się zdradnie?
choćby w czartowskiej zrodzony gromadzie —
jeśli łeb nosi, niech baczy czy spadnie.
Gromy, zawieje, wichury obłoczne!
niedbam o trudy i przynaglam kroku,
bo wiem, jak strudzon szczęśliwie odpocznę,
na ordynansie u Waćpanny boku.

Dolę, niedolę i los życia różny,
przetrwam odważnie i hardo przemogę,
bo jestem jako znajomy podróżny,
co się przechodniów nie pyta o drogę.
Tchórz — komu losy nie dały w udziele,
zaczerpnąć życia pełnego uroku,
kiep – kto nie wiedział, że szczęścia za wiele,
na ordynansie u Waćpanny boku.

I lata miną, starość szybko sięga,
pobielić włosy i pomarszczyć duszę,
a że to służba moja nie mitręga,
więc jako żyłem z pola się nie ruszę.
A kiedy rankiem w kwiatach wczesnej wiosny,
śmierć przyjdzie zdmuchnąć źrenicę w mem oku,
za to, żem kochał, niech umrę radosny,
na ordynansie u Waćpanny boku.

AKT II-GI.

KASZTELAN.

A wszystkie w Akademji pogłupieją głowy,
Mości panie Rotmistrzu — niechaj zdoła który
pokazać, że nieprawdą mój systemat nowy,
jako ogniem deszczowe spalać można chmury.
W ojczyźnie calamitas, wsie mokną i grody,
król pisze: Kasztelanie, do Krakowa muszę,
i wyglądam na jutro niezmiennej pogody;
deszcz spalę i trakty królowi osuszę.
Tak rośnie i zakwita wolna Republika
i spokojnie brat sąsiad pszenicę zasiewa,
bo jak długo me oko niebiosa przenika,
nigdy Polszczy nie zgubi ulewa.

ROTMISTRZ.

Historja ludzka szczerem wpisze złotem,
dzień Twojej chwały, księgę wydaj o tem.

KASZTELAN.

Cóżem to sprośny lichwiarz lub arendarz,
abym się porał robotę takową
i urwipołciom układał kalendarz?
mnie szlachcicowi uwierzą na słowo.

ROTMISTRZ.

Przeto i Wasza Miłość mi uwierzy,
żem po próżnicy nie przyszedł w zaloty
i że z dziewkami kochliwych przymierzy
nie zwykłem czynić, a wasz klejnot złoty,
który mi zdacie w dłonie jak przystoi,
nie zniży rodu, ale równe spoi.
Rade mi wasze poczciwe siedlisko,
bom indult kupił na kresach potrosze,
więc Waszej Mości pokłaniam się nizko,
do nóg upadam i o dziewkę proszę.

KASZTELAN.

Zasie Waszmości nie do twarzy zgoła,
wystrzępiać język na próżne gawędy.

ROTMISTRZ.

Gdy serce każe i gdy dusza woła...

KASZTELAN.

Chętne do łoża dziewki znajdziesz wszędy.

ROTMISTRZ.

Lecz mi tęsknica rozum poźre snadnie
i jako biczem tak żarliwie smaga.

KASZTELAN.

Waść w retoryce wyuczony ładnie.

ROTMISTRZ.

Bo gorsza stokroć niż egipska plaga,
tęsknica — kiedy w rozum wbije szpony,
choćby cię żadne nie zmogły oręże,
padasz na ziemię jako cios zwalony,
a kiedy w piersi krwawo się zalęże
i czujnem okiem ku tobie poziera,
kąsa okrutniej, niż złośliwe węże
i baczyć jeno, jako człek umiera.

KASZTELAN.

Logiczność wniosku rwie się na połowy,
jako hussarja pod janczarskim grotem,
gdy Waszmość dzielnie rozczerepiasz głowy,
wszystkie je zszywać tylko muszę potem
Gdy szturmem bierzesz najsilniejsze szańce,
i wrogiem w koło pozaścielasz niwy,
to ja się trudzę, by wskrzesić pohańce,
i myślę jako z trupa będzie żywy.
Gdy ty szarańczy ściągnąłbyś nawałę,
i w pień ją wyrżnął za gałąź wawrzynu,
ja pilnie trawię moje życie całe,
by nieśmiertelność znaleść w kropli płynu.
Przeto cię gorżką odmową obdarzę,
bo z Filozofją Mars nie chadza w parze

AKT III-CI.

ROTMISTRZ.

Dobroć nie mogła, przeto gwałt pomoże.

ROZALINA.

Lecz Waść mnie w głuchym zostawi klasztorze,
gdzie na pokucie dni moje przetrawię.

ROTMISTRZ.

W cichym klasztorze w którego pokoje,
żaden okrutnik nie wejdzie ciekawie,
gdzie będziem tylko my razem we dwoje
i ja szczęśliwy i ty wielce rada,
na wieki wieków...

ROZALINA.

Ależ nie wypada!

ROTMISTRZ.

W cichym klasztorze, do którego bramy,
My jedni klucze tajemnicze mamy.

ROZALINA.

Wątły ogarek tli w klasztornej celi,
ja o waszmości przy klęczniku marzę,
gdy w tem klasztorna siostra wejdzie w bieli
i szepnie, że tam w pustym parloarze,
spowiednik czeka — bo wielkie me winy,
a ja odgadnę, żeś przybył jedyny.

ROTMISTRZ.

O, takiem szczęściem anioły się szczycą!

ROZALINA.

Ty będziesz księdzem, a ja zakonnicą

ROTMISTRZ.

Wielmożną ksienią — potężną królową,
dla której maje plenią rajskie kwiaty,
zorze miotają smugę barw tęczową,
prządki niebiańskie srebrem wiją szaty
i białe perły rodzi wielkie morze,
tako sławioną będziesz w tym klasztorze.
Spiesznie najmilsza! droga niedaleka,
ucieczka jedna od zagłady zbawi,
ksiądz przy ołtarzu ze ślubem już czeka,
a mnie się dusza niepewnością krwawi
i nie przestanę, aż do mych pokoi,
wejdziem złączeni...

ROZALINA.

Zgoła nie przystoi!

ROTMISTRZ.

Ojcowa wola daleko nie sięga,
Waćpanno, wspólne nam znaczone drogi,
Wyglądać dłużej piekielna mitręga,
Więc porzuć domu nieprzychylne progi.
Chyżość nas ludzka w stepie niedogoni,
na pustych polach noc leży i ślady
stąpań zakryje — szybkość moich koni
sławna i zanim świt blady
na szarych niwach rankiem się zapłoni,
ułożysz głowę w bezpiecznej ustroni...
migiem ulecim!...

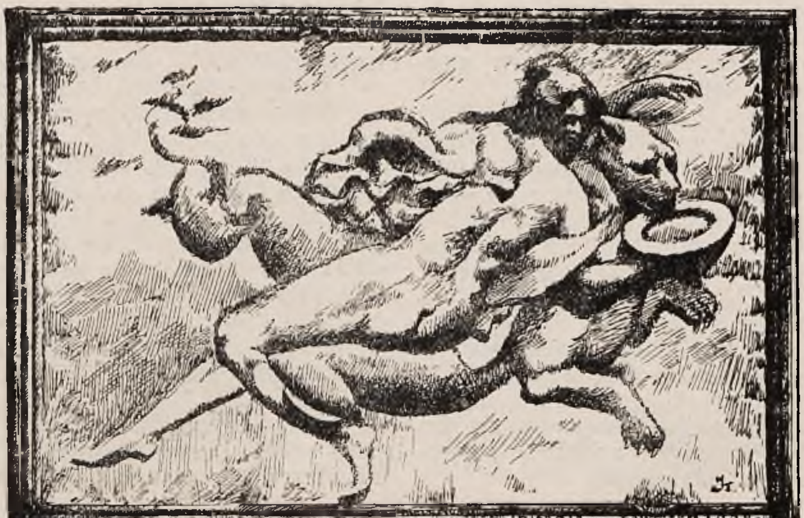
ROZALINA.

Ach, Waszmość uparty.
porwanie dziewki, to nie płoche żarty...

ROTMISTRZ.

Bronisz się jeszcze, uciekasz przed cieniem,
co zmaże troski i uśmierzy rany,
ócz cię błagalnych ogłuszę spojrzeniem,
stopy omotam w różane kajdany,
ociągasz szczęście, co zdaje się blizkiem,
drżysz jako wiotka na wichurze chusta.
Skuję ci ręce gorącym uściskiem
i pocałunkiem zaknebluję usta.

. . . .
. . . .



EUGIENJUSZ SKIERSKI.

W SPRAWIE WOJSKOWEJ EDUKACJI MŁODZIEŻY.

W dobie rosnącego w stosunkach europejskich naprężenia, w dobie, gdy lada moment, zda się, naładowane zdawna karabiny „same strzelać zaczną“, społeczeństwo nasze drzemie, marząc bezpłodnie o lepszej przyszłości gotowanej „organiczną pracą“, szkolnictwo nasze, miast wychowywać wolnych, świadomych i silnych bojowników Jutra, hoduje legjony potulnych niewolników, lękających się własnego cienia, pokolenia całe bez charakteru i bez hartu woli, nietylko że niezdolne do płomiennego czynu, lecz także nie przygotowane do ciężkiej walki o byt codzienny. Nie stała się szkoła galicyjska warsztatem przyszłości narodu, lecz kuźnicą, w której wykuwano kajdany dla duszy polskiej.

Jeżeli i do nas wreszcie zawitały nowsze prądy pedagogiczne, jeżeli warunki moralnego i fizycznego rozwoju młodzieży naszej są dzisiaj o wiele lepsze aniżeli wprzódy, jeżeli wogóle można żywić nadzieję, że szkoła galicyjska w przyszłości nie będzie hodowała ludzi słabych, popsute dzieci i starych młodzieńców, ale że najmłodsze pokolenie odrodzi się pod każdym względem — toć społeczeństwo polskie starać się powinno o to, by wykorzystać te zmiany w całej pełni. Jest więc naszym obowiązkiem popierać je ze wszech miar — a równocześnie rzucać na nie promienie idei, wyraźnie określać drogę, którą toczyć się winno wartkie życie młodzieży.

Myśl najszlachetniejsza zejdzie z czasem na manowce, — o ile jej nie opromienia cel daleko sięgający w przyszłość, będący tajemnicą nie tylko jednostki, kierującej w danej chwili tą myślą, lecz własnością ogółu i żłobiący wśród niego nieśmiertelne dla siebie łożysko. Tylko tak postawiona kwestja ustrzeże nas od smutnych doświadczeń, jakich u nas w tym kierunku nie mało. Bo czyż n. p. stan dzisiejszy idei sokolej odpowiada poglądom twórców zawiązku wojska polskiego? A czyż miłym był nam typ gimnazjalisty-oficera, jaki się swego czasu ukazał na sympatycznym tle parku Jordana w Krakowie?

Pomimo to nie waham się poruszyć w artykule dzisiejszym sprawy organicznie z wychowaniem młodzieży związanej o niezmiernej dla nas doniosłości.

Ministerjum obrony krajowej wydało dnia 1-go lipca 1910 roku rozporządzenie, w którym ogłasza program nauki strzelania w szkołach średnich. Program ten ogłoszono dlatego z początkiem lipca, by umożliwić władzom szkolnym wprowadzenie nauki strzelania już w bieżącym roku szkolnym. Rozporządzenie to podano do wiadomości zakładów naukowych za pośrednictwem ministerjów oświaty i robót publicznych. Wyjmujemy z niego w streszczeniu najważniejsze ustępy.

Jako najstosowniejszy czas do nauki strzelania polecono okres od 1-go października do końca maja każdego roku. Nauka sama odbywać się może co soboty po południu, każdorazowo po dwie godziny. Tak więc po odtrąceniu pewnego procentu straty na rzecz wycieczek sobotnich i t. p. zajęć, pozostałoby 50 godzin rocznie do dyspozycji instruktorów strzelania. W czasie tym zmieścićby oni musieli teoretyczną i praktyczną naukę strzelania — przyczym na każdego ucznia liczyć należy co najmniej 40 ostrych naboi wystrzelonych w jednym roku. Nauka ta nie jest obowiązkową — udział w niej brać mogą ci uczniowie najwyższych klas szkół średnich i równorzędnych zakładów naukowych, którzy się dobrowolnie zgłoszą.

Jednoroczny kurs strzelania obejmowałby szkołę wstępną — strzelanie pokojowe — naukę wyznaczania odległości i strzelanie ćwiczebne ostrymi nabojami.

Zależnie od ilości zgłoszeń wyznaczą władze wojskowe dla każdej szkoły 1—3 nauczycieli, którzy obejmą kierownictwo nowego kursu. O ile w gronie profesorów danego zakładu nie znajdzie się odpowiedni fachowiec (oficer rezerwowy), natenczas komenda deleguje do tego celu oficera (ów) z miejscowego pułku. W ostatnim wypadku powinien jednak każdorazowo być obecnym przy nauce strzelania reprezentant grona nauczycielskiego, którego obowiązkiem byłoby dbać o zachowanie potrzebnej w czasie nauki dyscypliny i karności.

Kierownicy kursu wspierać by się mogli w wypełnianiu swych zadań na pomocnikach wybieranych z grona tej młodzieży, która odznaczyła się sprawnością i umiejętnością w strzelaniu.

Po za nauką strzelania i ćwiczeniach w oznaczaniu odległości możnaby pomieścić w ramach kursu naukę o organizacji wojska i orjentacji w terenie i kartach wojskowych. Wykorzystać by też należało każdą sposobność urządzania zbiorowych wycieczek do zakładów wojskowych, ażeby przez oglądanie dział i karabinów maszynowych, telegrafów, telefonów i kuchni polowych, obudzić w młodych umysłach zamiłowanie do sztuki wojennej.

Celem poparcia tego ruchu godzą się władze wojskowe na bezpłatne korzystanie z placu ćwiczeń i strzelnicy wojskowej ze strony grup młodzieży ćwiczącej—dostarczenie potrzebnych karabinów i innych rekwizytów strzelniczych — instruktorów i żołnierzy — potrzebnych przy teoretycznej i praktycznej nauce — amunicji częściowo bezpłatnie, częściowo zaś po cenach kosztu.

Odnośne zgłoszenia ze strony zakładów naukowych średnich wpływać powinny przed rozpoczęciem każdego roku szkolnego do komendy krajowej za pośrednictwem rady szkolnej krajowej. Podać w nich należy:

1. liczbę zgłaszających się do nauki strzelania uczniów —z pośród nich wyszczególnić niezamożnych.
2. Wskazać czy potrzebnym jest dla danego zakładu instruktor fachowy.
3. Strzelnicę, z której zakład zamierza korzystać.
4. Ilość potrzebnej broni i amunicji.
5. Rewers, mocą którego dyrekcja zakładu oświadcza, że zna odnośne przepisy o nauce strzelania i że o ile możności poprze je we własnym zakresie działania.

Dla każdego niezamożnego ucznia przeznacza zarząd wojskowy bezpłatnie 40 naboi ostrych i 100 naboi szkolnych. Pozatym nabywać można te naboje po cenie kosztu, tak, że 1000 sztuk naboi ostrych 8 mm M. 93 kosztować będzie 70 Kor. a 1000 sztuk naboi ćwiczebnych — pokojowych 8 mm M. B 2 Kor.

Wszystkie przybory powyżej wymienione wypożycza wojskowość odnośnym zakładom na czas nieograniczony — za-

chowując sobie prawo własności i prawo jednorazowej w roku kontroli.

Tyle słów odnośnego rozporządzenia ministerjalnego. Zależnie od rzutkości społeczeństwa galicyjskiego pozostanie ono martwym kapitałem, albo też stanie się poważnym czynnikiem w staraniach naszych o fizyczny rozwój młodzieży. Troska o zdrowie i hart młodego pokolenia, troska o zachowanie rycerskich, a równocześnie i ogólno-ludzkich zalet i cnót stwarza wśród innych, żywotnych społeczeństw specjalne stowarzyszenia, które starają się wszystko wyzyskać, co tylko tej myśli służy. Nie obawiają się przez to i w najbardziej zdemokratyzowanych krajach jak n. p. Szwajcarji szerzyć niezdrowy kult militaryzmu, narażać na szwank pracę kulturalną i społeczną. Tworzą się tam bardzo liczne zrzeszenia, których celem jest pielęgnowanie wśród młodzieży bojowej sprawności żołnierskiej. Idea ta rozlała się już szeroką falą wokoło nas — ogarnęła państwo niemieckie — sięga obecnie do Rosji, a tylko u nas cicho pod tym względem, jak gdybyśmy mieli za wiele sił żywotnych w sobie i nie potrzebowali się już troszczyć o ich dalszy rozkwit.

Swoboda zupełna pozostawiona ze strony wojskowości organizatorom nauki strzelania w szkołach średnich daje i najtrwożliwszym rękojmię, że rzecz ta nie zejdzie na manowce, o ile będziemy ją przed tym strzegli. Nie ma na pewno ani jednego zakładu naukowego w Galicji, w którym nie byłoby oficera rezerwowego. Gdybyśmy się przeto obawiali szer zenia patryjotyzmu wojskowego wśród młodzieży — natenczas możemy łatwo ominąć tę przeszkodę przez zatrzymanie w swych rękach kierownictwa nowego kursu wojskowego. Obawiam się jednak rzeczy najgorszej, w naszych warunkach możliwej, a mianowicie biernej apatji społeczeństwa naszego w tej sprawie. Wrodzone i wdrożone nam przez tendencyjne wychowanie krótkowidztwo polityczne i bezwład ideowy spowodować mogą, iż nie rozpatrzymy nawet złych i dobrych stron omawianego przedmiotu — lecz obojętnym milczeniem zabijemy rzecz całą w zarodku.

Do młodzieży naszej zwrócić się przeto należy tej młodzieży, która się nie lęka nowości — a w żyłach swoich czuje krew młodą i bujną — żywym tętnem wołającą o sposobienie się do czynu — by ona ujęła inicjatywę w swe ręce i nie pozwoliła, by i ta zdrowa myśl, jak tyle innych — pokryła się pleśnią bezczynności.

Dyrekcje zakładów naukowych nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności, ani też żadnych ciężarów w wypadku zrealizowania propozycji wojskowości — nie sądzę przeto, by stanęły w poprzek tym zamiarom.

A jeśli kto za krótki ma wzrok, by dojrzeć doniosłość i daleko w przyszłość naszą sięgające wytyczne tej sprawy, ten niechaj rozważy osobiste korzyści młodzieży, biorącej udział w proponowanym przez ministerjum obr. kraj. kursie. Stanowić on może dla młodych obywateli wstęp do obowiązkowej służby wojskowej — a nabyte w nim drogą niezmiernie łatwą wiadomości uchronią niejednego młodzieńca od wielu nader przykrych epizodów, jakie każdego nowicjusza w rzemiośle wojennym czekają.

Ja jednak, traktując tę sprawę z ogólno-narodowego stanowiska powtarzam, że walki zbrojne są nieodzownym ogniwem w łańcuchu olbrzymich zmagań, przez które przebyć musi każdy naród ujarzmiony. Prawda ta odległą jest dzisiaj od nas bardzo, podczas gdy nic nie powinno jej dzielić od żyjącego — polskiego świata.

Sposobić się przeto we władaniu bronią należy, czyniąc to gdzie można jawnie. Gdzie zaś tego warunki miejscowe wymagają — tam zejść nam trzeba do podziemi, by podjąć olbrzymi trud, prowadzony w uniesieniu prawych serc, nad fundowaniem szerokich podstaw — na których się oprze w przyszłości armja polska.

Armja to nie zwykłych żołnierzy, lecz związek wolnych oraczów przyszłości, zdolnych do życia nowego — pełnego na każdym kroku prawdy i siły, niezłomnej i hartownej pracy — którzy potrafią w przyszłości przekuć w lemiesze swą broń i zaorać smutne polskie pola, by wrzucić w nie bogaty posiew wolności i sprawiedliwości społecznej.



MARJA TURZYMA.

W MIŁOŚCI I BOJU.

Każda nowa książka Gustawa Daniłowskiego, jest jakby świeżym źródłem, wytryskującym z pod ziemi i bijącym jak żywe serce mocnym tętnem krzepiących zdrojów piękna i ideału.

Wielki artysta a jednocześnie człowiek o bardzo wysokiej kulturze duchowej i społecznej, umie on w przedziwny sposób łączyć' te oba pierwiastki w swoich dziełach. Tworzy dramaty napięte na wysoki ton pełnego życia i bujnej energji zarówno w męce jak w rozkoszy. Porywa zarazem siłą swojego słowa do ukochania ideologji, z której twórczość jego czerpie swoją płomienność, pomimo, że nie zaprósza jej ani pyłek tendencji.

Daniłowski kocha życie szalenie i zna jego niewyczerpane bogactwo tak w dobrym jak w złym Wie on także, że najwyższą wartość życia stanowi ukochanie czegoś ponad życie. Rozumie doskonale mękę i ohydę wszystkich chorób i grzechów społecznych, od których dławią się jednostki, ale w bystrości swego patrzenia i subtelności odczuwania widzi i miarkuje, że nietylko męką i ohydą karmi człowieka istnienie jego na ziemi. Poznał on wszystkie tajemnice rozkoszy i upojeń zarówno dusznych jak zmysłowych i wysłonecznia nimi najtragiczniejsze momenty dając artystyczne piękno tak zupełnie nowe i porywające, że stają przed nami jak objawienie i jak powołanie do czynu, działania, tworzenia, choćby za cenę ślubowania się śmierci.

W rozpaczliwej bezdogmatyczności naszych dni, rozpętującej zhisteryzowanie ciała i znieprawiającej niedołężne dusze pożądaniem perwersyjnych wyuzdań, sztuka Daniłowskiego orzeźwia i krzepi, jak powiew świeżego powietrza w zatęchłych norach knajp i tinglów przez otwarte nagle okno, napływający w mroźną, gwiaździstą noc. Piją go pożądliwie zduszone płuca i serce zmordowane wydziera się z cuchnącej łaźni oparów, tam skąd ten powiew — czystą i zdrową atmosferę przynosi.

Daniłowski ma swój dogmat, w który wierzy tak silnie, że wiara ta innych porywa i do wierzenia zmusza. Żywi on swoją nadzieję, która wydaje się każdemu oczy-

wistą i konieczną, jak tylko wejdzie w zaczarowany krąg jego twórczych obrazów I miłością swoją tak przepaja dzieła, które tworzy, że budzą się wszystkie instynkty kochania, rozpalając żądze mocniejsze niż śmierć, bo nawet w obliczu jej — zwycięskie.

Wiara w jednostkę, jako człowieka i w Polskę, jako naród — nadzieja zdobycia wolności dla wszystkich a dla swego narodu niepodległości — oraz umiłowanie walki, jako protestu przeciw krzywdzie sprawiają, że Daniłowski nie wyszedł jak Jeremiasz poza mury swego grodu w rozdartych szatach, osypany popiołem zgliszcz, zawodząc głośno, jękliwie psalmy nad zgubą swojego ludu. Bojową jest pieśń, którą tworzy po klęsce — na ten sam nastrojona ton, jak wówczas, kiedy wszyscy wierzyli w cud i bezkrwawe zwycięstwo.

On wie, że nieśmiertelnym jest życie ludów, które umiłowały wolność i nie poddają się niewoli. Nie popadł też w rozpacz, jak inni po przegranej rewolucyjnej potyczce. Czuje, że jutro zerwie się nowa burza, która szalę bitwy na inną może przeważyć stronę. Nie przejmuje go nawet zgrozą i nie zatruwa goryczą to, że odpływ rewolucyjnej fali pozostawił po za sobą rozkładające się męty i gnijące ciała. Wie, że tak bywa zawsze, więc widocznie tak być musi.

„Wsławił się Leonidas przez Efjaltesa", mówi jeden z jego bohaterów, „i w tym obozie gdzie był bohater i zdrajca, potomność postawiła pomnikowego lwa, bo był bohater... Lwia nasza lista jest dłuższą od czarnej, w tym widzę świetność. Wszystko zależy od strony, z której się chce oglądać zjawiska".

Daniłowski ogląda zjawiska ze wszystkich stron i we wszelkich oświetleniach. Stąd plastyczność jego obrazów.

Ostatnia książka Daniłowskiego „W miłości i Boju", w większym może jeszcze niż poprzednie stopniu posiada te wszystkie cechy, tak bardzo wyróżniające twórczość jego, od dzieł mniej lub więcej zdolnych artystów współczesnych, zatrutych pesymizmem i porażonych bezwładem.

Bohaterami „W Miłości i Boju" są bojownicy o wolność jednostki i niepodległość narodu, wypowiadający prosto i jasno swoje dążenia.

„Nie wyrzekliśmy się niczego, nie myślimy przysłosowywać się do zmienionych warunków bytu, w myśl waszej deprawującej zasady, przeciwnie, chcemy zmienić te warunki stosownie do potrzeb narodu. Szczycimy się, że umiemy marzyć, szczęście znajdujemy w walce, dumą nas napełniają nasze dążenia, przyznajemy się otwarcie, że zamierzamy zburzyć te wszystkie klatki, w których targacie się lub żyjecie".

Ponieważ za te swoje marzenia ślubowali każdej chwili gotowość śmierci, kochają się szalenie — całą rozognioną duszą i całym tętniącym gorącą krwią, ciałem. Nie kochają się jednak nigdy ponad swoje marzenia. Zuchwale zmysłowa miłość spaja jednocześnie tak mocno dusze wspólnym ukochaniem ideału, że kiedy jedno zachwieje się i zawaha przez chwilę przerażone wobec czynu niweczącego życie — drugie podtrzyma go natychmiast i odratuje nieskalaną cześć bohatera.

A bohaterami są u Daniłowskiego wszyscy, i ta matka, żona wygnańca, co aby uratować dzieci, krzywdzi jedno ciężko, z nieubłaganą zawziętością mocnej woli. I ta dziewczyna rozkochana, której zdławiony krzyk, na wieść, że ukochany jej został zasądzony a „wyrok wykonano", przemienia się w straszliwe, niezłomne przysięgi zawziętego ukochania i śmiertelnej nienawiści. I ofiara pomyłki, zatęskniony za kobietą kochaną działacz, nie dający jednak zawładnąć sobą tej kobiecie, która wraz z „produktywną rodziną nie rozumie jego wartości i opuszcza go wreszcie, ponieważ nie chciał zrobić „dobrego interesu". A przedewszystkim ta przedziwnie piękna para „W Miłości i Boju", tak szalenie rozkochana, że kiedy „rozwścieczony bagnet przeszył jej krągłą pierś do jego piersi", „trysnęła jeszcze ciepła krew i biła z rany w ranę, niby nowe w miłości i boju poczęte, wspólnym tętnem pulsujące serce".

Bohaterem także jest ów gołąb, ożywiony przez Chrystusa, z ulepionego z gliny bawidełka, który zrozumiał mowę umierającego za kratą bojownika.

„Ludzi trzeba zmuszać, wspinać się na szczeble własnego szczęścia, do wyzwolenia ośmielać".

„Najpoczciwsi są z natury gnuśni, słabi i ulegli nikczemnym.

„Nie łzawe bicie łagodnego serca, lecz ostra pobudka grozy wojennej, nie jedwabna ręka, lecz dłoń w skórzanej rękawicy, z którą się zrasta garda miecza, zrywa ludzkość ze zgniłych legowisk i na nogi stawia".

„Święty jest burzycielski gniew, twórczą nieubłagana moc, zdobywczą wola, zstępująca nieugiętym krokiem podkowami z żelaza".

W miłości i Boju. Myśl powraca wciąż do tych dwojga, co rozpalili w sobie burzycielski gniew. On ma zamienić gniew swój w czyn — a cała jej zapamiętała miłość, pożądająca rozkoszy, przemienia się w nieubłaganą moc, w zdobywczą wolę, stępującą nieugiętym krokiem. Kiedy jemu upragniona postać jej zasłoniła na chwilę to, co spełnić chciał, to co spełnić miał nakazane — ona dokonywa to za niego prosto i bez wahania, jakby nim była, jego woli dłonią i jego obowiązku dopełnieniem. Ukochała w nim bohatera — sama za niego spełni bohaterski czyn, byle uratować w nim tego, którego ukochała. I zginie z nim razem. Mężnie i nieubłaganie. Rozkochana nietylko duszą ale i ciałem. Pożądająca rozkoszy i upita szałem młodej krwi, aż do ostatniego tchnienia.

Afrodyte w dramacie Wyspiańskiego Achileis, opowiadając o swojej miłości woła: „gdy duch mój ciałem płonie". Wyspiański, który najsubtelniejsze i najbardziej złożone uczucia ludzkie, umiał określać w kilku prostych słowach, zawarł w tym zdaniu cały sens tego mistycznego związku, jaki zachodzi między zmysłową miłością a upojeniami duchowymi prawdziwej, mocnej miłości. Daniłowski pokazał nam ludzi, którzy tak właśnie się kochają. Nie są to doktrynerzy wyrzekający się szczęścia, dlatego, że nie wszyscy są szczęśliwi. Nie są to asceci biczujący swoje żądze i zadający gwałt przyrodzie, odrzucając najbujniejsze jej piękno: miłosny szał. I nie są to niepowściagliwe bestje, poddające się każdemu odruchowi zmysłowego pożądania, bez wyboru i bez odpowiedzialności.

Ci kochankowie Daniłowskiego, których „duch ciałem płonie", są tak potężni w swoim rozkochaniu, że przez myśl nawet przejść nie może, aby mogło być coś piękniejszego nad ich miłość. Chyba to jedno, co oni sami stawiają ponad swoją miłością. Ukochanie ideału. Bo dusze ich rozpadają się na dwie części; „by jedną kochać, drugą nienawidzić śmiertelnie".

Takie książki, jak ta, która nosi tytuł „W miłości i Boju", nawet opisując klęski, budzą, oprócz rozkoszy artystycznej, taką potęgę tajemniczą, jak krew bijąca z jednej rany w drugą. Gdzieś tam zrodzi się z tego poczęcia bohaterskie serce, które wielkie słowa zamieni na zwycięzki czyn.

CHORAŁ BEZSENNEGO WIECZORU.

Dzień mój kona srebrzystych gwiazd szumiącą rzeką
Rubin słońca zanurza się w fal złotej wardze
na me piersi dalekich wiatrów szumy cieką —
wicher w pyłach gwiazd kładzie pieczęć w usta skardze!
Dzwon wieczorny ostatniem przymdlewa wołaniem —
serca w klęczkach z win czyszczą rany dobrotliwe.
Wyjmuję serce swoje by uklęknąć na niem
i modły swe wieczorne wyśpiewać prawdziwe!

Nim — o Nocy! — zasłonisz dłonią swoją miękką
róż złocisty zachodów i morza błękity,
nim zadzwonisz w czujące serca ciszy ręką —
złem przeczuciem przepoisz nadchodzące świty —
nim w twych wargach wydzwoni morze — dobry lekarz
swój ostatni związany z złotem światłem dystych,
proszę, daj mi — co sercom czcicieli przyrzekasz:
daj mi duszę strażnika o oczach gwiaździstych!

Pług mój znoju dziennego krwią omalowany,
o trud nocny się prosi modlitwą bojową,
bo zbyt słodkie mi stały się ukojne dzbany,
a cisza bezrobocza mętną i jałową!

Przeto w duszę Twą, topiąc duszę robotnika
co nad wszystko ukochał znój wiecznego trudu,
proszę Ciebie pochwałą roboczego cudu,
daj mi duszę o oczach gwiaździstych strażnika!

Pochwalone, piorunem sycone powietrze!
Pochwalone wieczyste granie w ostrzu pługa!
Zanim tędy gwiaździany blask me oczy przetrze,
a z kruż gwiezdnych się zleje cisza senna, długa,
krwią okrzyku wykuwam w piersi dumnej wyłom,
moc tęsknienia w warg wbijam mych rubin kamyka,
prosząc Ciebie, o Nocy, daj rozpęd mym siłom,
daj mi duszę o oczach gwiaździstych strażnika.

Jako w dziennej spiekocie oczyma czujnemi
Duszę orzę i w moce zaklinam i piękno,
tako pragnę bym strażnik był oranej Ziemi,
kiedy gwiazdy nad pracą serdeczną przyklękną!
Proszę Ciebie o Nocy! Nim słodycz ócz czystych
zabarwi się gorącem rannego rozbrzasku,
daj mi miecz mój strażniczy i tarcz pełną blasku,
daj mi duszę strażnika o oczach gwiaździstych!!!



Z TYGODNIA.

O MIEJSKĄ REFORMĘ WYBORCZĄ. A Reprezentacja miasta obdarowała swoich mieszkańców na gwiazdkę prezentem, który potomności będzie mógł dowodnie świadczyć, że jednak są rzeczy, o których się filozofom nie śniło — że n. p. można z hasłem pójścia naprzód cofać się w tył... Projekt komisji, względnie jego najważniejsze zasady zostały uchwalone.

Gdyby „reforma wyborcza“ była istotą żyjącą, musiałaby przenieść jeszcze i tę przykrość, że nie wiedziałaby nawet, czyje ręce ją uśmierciły. Charakterystycznym bowiem jest fakt, że chciano uniknąć imiennych głosowań, „przebić“ całą ustawę przez parę minut — że więc większości wstyd i przykro było głosować i chciała tylko najprędzej tę groźną zmorę odepchnąć, by bodaj święta mieć spokojniejsze...

Zawistny los jednak i w tym wypadku nie pozwolił na to. Nie zdołano skończyć z całą ustawą dzięki niezdarności prezydenta, który nie mógł sobie dać rady z głosowaniem, dzięki brakowi odwagi — czy może delikatności niektórych członków większości, którzy przed głosowaniem w sprawie kobiecej usunęli się, lub przypominając sobie szkolne czasy podczas odczytywania nazwisk „udawali“ nieobecnych. No i zabrakło kompletu i reforma wyborcza pojawi się raz jeszcze na porządku dziennym, prawdopodobnie dla zrobienia wesołego początku roku 1911.

Całe posiedzenie obracało się około głosowania, z góry przesądzonego. Nie zwrócono nawet uwagi na projekt wiceprez. Aschkenazego, może aż zanadto kompromisowy, nie starano się nawet wytłumaczyć, jak możliwym jest, by używano tych samych argumentów, którymi uciącała prawica sejmowa reformę wyborczą, przeciw własnym słowom w tym sejmie wygłaszanym, jak może referent, ktory prowadził do sejmu deputację, domagającą się reformy jak najszerszej, tutaj tak bezwzględnie przeciw sobie występować?

Nie usiłował tego wytłumaczyć nawet referent r. Neumann, kończąc z zimną krwią każde zdanie zwracające się ku opozycji „tu także jest inaczej, niż panowie mówią“, wyobrażając sobie, że niezrozumienie przemówień wystarczy, by ich moc obalić. Zdaje się, że w tym wypadku metoda najlepsza!

Gorzkich słów nasłuchać się musiał r. Neumann, a wraz z nim ci, którzy „bronili“ projektu komisji atakami na opozycję, kiedy zabrał głos r. Laskownicki, zbijając zarzuty „agitacyjności“, „demagogji“ i „rachub osobistych“.

Przykry dla wielu był ten dobitny wykład, czym są cele osobiste i gdzie ich szukać należy a zarazem lekcja dla tych, którzy lekkomyślnie zarzuty takie stawiają. Kiedy sprawa reformy wyborczej jest już de facto załatwioną, kiedy na razie niema nadziei na jakąkolwiek poprawę stanu rzeczy, jedynym ostatnim rezultatem jest postawienie na forum opinji publicznej zasadniczych podstaw życia politycznego, kwestji zasad i walki o postulaty.

WYTŁUMACZYĆ SIĘ! Dochodzi nas z Paryża odezwa zarządu tymczasowego towarzystwa zawiązanego ku obronie tamtejszych instytucji polskich, zwrócona do społeczeństwa polskiego. Odezwa, będąca strasznym oskarżeniem. Oto wyjęte z niej ustępy:

„Instytucja „Czci i Chleba“ posiadająca około 800.000 fr. i czerpiąca fundusze z procentów od tego kapitału, najwyraźniej drwi sobie z rozsądku społecznego, jak to wykazują fakta.

Jeżeli przy najgorszych warunkach, kapitał ten zostaje złożony na 3% (jakaż instytucja takiej odsetki nie ofia-

ruje?) — otrzymamy rocznie około 24.000 fr., z czego 1/4 przeznacza się na kapitał żelazny.

Co roku ogłasza się sprawozdanie o wydatkach (czyli zapomogach, kosztach administracji i t. p.) w łącznej sumie od 9 do 11 tysięcy franków.

Gdzież podziewa się reszta?

Jeżeli znajdzie się ktoś, kto w interesie ogółu zaprotestuje przeciwko tej gospodarce, zostaje nazwany „warchołem“ i wykluczony imieniem zarządu, tworzącego się najzupełniej samowolnie, powoływanego staraniem t. zw. kliki, która własnowolnie kreuje na te stanowiska ludzi nie mających z weteranami nic wspólnego, a nadomiar tego będących Francuzami!

Czy zatym godzi się milczeć wobec przeniewierców dobra publicznego? Bo oto Władysław hrabia Zamojski, dotychczasowy prezes „Czci i Chleba“ oświadczył kilku weteranom 63-go roku, że w „instytucji dzieją się przeniewierstwa“!!!

Rodacy! Jeżeli w sercach współczesnych Polaków, mieści się to poczucie sprawiedliwości, które bez względu na pochodzenie, nazwisko i opinję — doszukuje się istoty czynu, wzywamy Was, abyś wraz z nami i Ty, Panie Hrabio — wejrzał bliżej w wewnętrzny stan tych instytucji!

Wzywamy Cię, abyś zażądał rachunków od początku istnienia „Czci i Chleba“, abyś zapytał, czemu postępowanie zarządu jest sprzeczne z celami towarzystwa? Czemu fundusze weteranów przeznacza się dla ludzi w wieku lat 22-ch i 30-u, a wyraźną zapomogę jako weteranowi 63-go r. wypłaca się człowiekowi mającemu obecnie 44 lata!!!

Czemu, nareszcie, zarząd pozwala sobie drwić niemiłosiernie ze społeczeństwa, twierdząc, iż wypłaca wsparcia 17 wdowom po weteranach 31-go roku, wówczas, gdy w najszczęśliwszych warunkach dwóch wdów byśmy nie odnaleźli!!

W liczbie 24 znajdujących się w zakładzie św. Kazimierza, rzeczywistych uczestników 63-go r. jest zaledwie czterech, reszta zaś składa się z pupilów i pupilek panów prezesów, ludzi młodych z pominięciem starców-weteranów (w tej liczbie pewien staruszek głuchy i ociemniały), odmawiając im poparcia z „braku miejsca“ — (bowiem Ci wytykają zarządowi wręcz jego nepotyzm i nieprawidłowości, wobec subsydjów rządowych po 480 fr. dla 80 weteranów, co czyni sumę: 14.400!).

Oto fakta, oto paląca koszula Dejaniry, sycona krwią obojętności Ogółu, zezwalającego na wolne harce „ojcom dobra publicznego“!

Czy miałaby ta obojętność wytrysnąć rumieńcem wstydu społeczeństwu, aby się ono dotknęło oburącz własnej skroni i pojrzało w zdumieniu na rzesze paryskich weteranów?

Bo Ci to powiemy Polsko, od morza do morza, że rząd francuski wypłaca nielicznej garstce weteranów 63-go r. pensję miesięczną — co mogłoby tylko dławić wstydem tych, którzy mniej dbają o dobro własnych rodaków, niż obcy, poniekąd, dla nas rząd francuski!

Przytaczanie całego szeregu jaskrawych faktów z życia polskich instytucji w Paryżu, uznajemy po części za zbyteczne, wobec broszury dra H. Gierszyńskiego p. t. „Skarb Narodowy i Emigracja“ — który dosadnie maluje przeniewierstwa emigracyjnych władyków, łupiących instytucji „Czci i Chleba“ i „św. Kazimierza“, dzierżąc zarówno niepedagogiczny ster szkoły batignolskiej, mając w posiadaniu t. zw. „Skarb Narodowy“ w Rapperswylu...

Ale niechajbyśmy raczej konali w tych nędznych warunkach naszego bytu, pozbawieni pomocy wspomnianych instytucji, niżbyśmy zezwolili na rządy paryskich Macochów i Rejmanów, na samowolę despotycznych administratorów „Czci i Chleba“ i „św. Kazimierza“. Raczej pozbyć się wszystkiego, miast tolerować i zezwalać na plenienie się brudów polskich sumień, miast wyzbyć się sromoty, zabagnionej rządami: hańbicieli polskich czół!

Wystąpmy przeciwko zbrodniom społecznym na drogę publicznej świadomości i rzućmy pogardę tym, którzy trwonią narodowy skarb weteranów!“

„Zarząd tymczasowy“, autor oskarżenia, podaje swój adres: Mr. Wolski, Faubourg, St. Antoine 50, Paris.

Oczekujemy szczegółów. Oczekujemy wyraźnego wskazania winowajców. Lecz od oskarżonych zażądać winna społeczność polska głośno i dobitnie, pod karą infamji, pełnych wyjaśnień — wytłumaczenia się! Stosunki na emigracji układają się w sposób groźny. Nietylko z Paryża, lecz i z Rapperswilu dochodzą niepokojące wieści. Chcemy całej prawdy, albowiem — słowa Mierosławskiego — „na śmiertelną obłudę jedynym jest lekarstwem cyniczna prawda“.

Z PAŃSTWA KNUTA I RÓZGI. W ostatnim tygodniu świat cywilizowany dowiedział się z drżeniem ze słów interpelacji, wniesionej przez rosyjskich socjalnych demokratów w Dumie, o straszliwych katuszach, zadawanych politycznym skazańcom, o masowym samobójstwie w Nerczyńsku, o zgonie Sazonowa, jednego z największych bohaterów Rosji współczesnej. Nawet w parlamencie wiedeńskim znalazły odgłos te wieści — czemuż nie przez usta najpowołańszych — Polaków!

„Główny zarząd więzień“ ogłosił następujący komunikat urzędowy, „wyjaśniający“ sprawę:

„W niektorych wydawnictwach perjodycznych pojawiły się wiadomości, że 1) w więzieniu zerentujskim w katordze nerczyńskiej wskutek stosowania kar cielesnych zaczęły się masowe samobójstwa i że 2) w wołogodzkim więzieniu katorżnym ukarano rózgami 100 katorżników za to, iż wyrazili swe niezadowolenie z powodu złego pożywienia.

Według danych, jakie posiada główny zarząd więzień, wypadki te przedstawiają się tak:

W ciągu drugiej połowy roku bieżącego otrzymano wiadomość, że organizacje rewolucyjne zbierają pieniądze w celu masowej ucieczki katorżników politycznych, w szczególności z więzień katorgi nerczyńskiej. Wiadomości te zostały potwierdzone przez znalezienie wielkich ilości trucizny wysłanej z Irkucka do Zerentuja do katorżnika, który należał do kategorji „wolnych“, to jest nie trzymanych w więzieniu. Trucizna ta widocznie była przeznaczona na wytrucie straży więziennej w celu ułatwienia ucieczki.

Następnie pod adresem zamkniętego w więzieniu zerentujskim zabójcy Plehwego, Sazonowa, otrzymano posyłkę, w której był egzemplarz fizyki, w okładce tej fizyki znaleziono wprawione 500 rubli papierami państwowymi. Śledztwo wykryło, iż pieniądze te były przeznaczone na koszta ucieczki w liczbie innych katorżników: Marji Spiridonowej, osądzonej za zabójstwo radcy tambowskiego zarządu gubernjalnego, Łużenowskiego.

Te okoliczności zmusiły miejscową administrację więzienną do wzmocnienia nadzoru w katordze i zwrócenia większej uwagi na niedopuszczenie, żeby katorżnicy utrzymywali stosunki z osobami postronnymi. Dnia 10 grudnia władza więzienna uznała za stosowne na mocy punktu pierwszego art. 275 przepisów o zesłańcach ukarać rózgami katorżników Solańskiego i Pietrowa. Poczym katorżnicy Masłow, Odincow i Puhalski w celu wyrażenia swego protestu poprzeżynali sobie żyły a Michajłow, Kunej i Sazonow otruli się morfiną. Sazonow zmarł. Oprócz tego prawie wszyscy katorżnicy osądzeni za przestępstwa polityczne, zaczęli głodówkę, żądając zniesienia kary cielesnej i innych złagodzeń porządków więziennych.

Co się zaś tyczy więźni w więzieniu katorżnym wołogodzkim, to zamknięci w tym więzieniu katorżnicy odmówili w dniu 23 listopada wyjścia na robotę do warsztatów, żądając zastąpienia pożywienia postnego, które wprowadzono z powodu postu przed Bożym Narodzeniem, pożywieniem niepostnym. Pomimo namów administracji, katorżnicy nio wychodzili na robotę w ciągu czterech dni. Opór ustał dopiero wtedy, kiedy zagrożono zastosowaniem kar cielesnych. Dnia 2 grudnia praca w więzieniu została wznowiona, ale z powodu wsadzenia do karceresu jednego z więźniów, katorżnicy urządzili masowe zaburzenia, łamano sprzęty i drzwi, stawiano opór dozorcom. Wskutek czego za dowiedzione przestępstwo 59 katorżników zostało ukaranych rózgami“...

Bez komentarza!

WYBORY ANGIELSKIE dobiegają kresu, przynosząc pełne zwycięstwo liberalnemu rządowi; będzie on miał w Izbie gmin do rozporządzenia większość równie silną, lub też silniejszą nawet, niż poprzednio. Za jego radykalną polityką i hasłami równości stanęła większość Anglików bezwzględna — taką bowiem większość stanowić będzie partja liberalna wraz z partją Pracy. Sojusz zaś z Irlandczykami z obozu Redmonda podnosi większość rządową do przeszło stu głosów. Wybory były odwołaniem się rządu i parlamentu do ludności w sprawie zatargu pomiędzy izbą i rządem, a lordami. Anglja wystąpiła przeciw lordom. Kwestją najbliższej przyszłości stało się ograniczenie przywilejów najdumniejszej i najmędrszej arystokracji świata, złagodzenie krzywdy narodowej Irlandczyków, wielkie reformy społeczne.

Od rzeczy wielkich przechodząc do *petites miseres de la vie humaine* nie możemy się powstrzymać od zanotowania faktu, że „Słowo Polskie“ mężnie stanęło w obro-

nie lordów, jako przedstawicieli ciągłości narodowego rozwoju. Gdyby Anglicy czytać umieli po polsku, Izba Lordów byłaby ocalona... Ale jak pogodzić te ku lordom sympatje z niedawnymi szumnymi manifestacjami za czteroprzymiotnikowym prawem wyborczym do sejmu? Jedno nasuwa się wyjaśnienie, że są lordowie i „lordowie“, a najżarliwszy arystokrata angielski z ulicy Zimorowicza ręce musi łamać na widok naszych panów krakowskich i gorszych od nich podolskich pół-panków...

Istotnie, co ma wspólnego taki Biliński „z ciągłością narodowego rozwoju“?

ROMUALD MINKIEWICZ.

SŁOWA ZATRWAŻAJĄCO SZCZERE.

VIII. Nie będzie już Wielkiego.

„Historja“ i „krytyka“ literatury (przynajmniej naszych rodzimych krytyków i historyków) polega, drodzy moi, 1) na dowodzeniu tysiąckrotnie dowiedzionej wielkości Wielkich; 2) na uczeniu, odpowiednią argumentacją (nie wyłączając pięści i obcasa) popartym, panienek, uczniaków, głuchych ciotek, panien służących i upartych, ale zdrowych (w zdrowym sadle zdrowa „dusza“!) szlagonów lub przynajmniej ekonomów, gdy szlagonów braknie coraz bardziej, że na tamtych Wielkich wielkość się wyczerpała, ostatecznie i na zawsze.

Odtąd, niestety! (tu łza żalu) — możliwa już tylko małość, co najwyżej epigoni, pogrobowce.

A te, panie, „nowe“, „młode“ siły, „talenty“ „gienjusze“ — cha, cha, cha! to wszystko, panie wymysły socjalistów!

Młodych niema. I basta.

Nie trzeba, aby byli.

Trzeba, aby nie byli.

Zrozumiejcie, drodzy, że nic trudniejszego, nic bardziej nieosięgalnego dla historyków wielkości historycznej, jak uznać wielkości niehistoryczne.

I zaprawdę, łatwiej jest wielbłądowi przejść przez uszko igielne, niż tym co „dla domu i szkoły“ objaśniają Króla-Ducha, Nie-boską i Odę do młodości, zrozumieć wieczystą młodość tej Ody, i tęczową, boską królewskość ducha człowieczego, „wiecznego rewolucjonisty“.

Natomiast, jakże wygodnie, jak łatwo dowodzić dowiedzionej wielkości Wielkości.

IX. O postępowaniu i „postępowości“.

a) Wiecie, na czym zazwyczaj polega „postępowość?

Na postępowaniu tak właśnie, jak postępują wszyscy. Lub, jeśli wolicie, na unikaniu w życiu własnym postępowania w myśl zasad postępu.

Pytam was tedy, jakoż biadać możecie na zbyt powolny postęp społeczeństwa?

b) Z postępowości chętnie bierze się u nas tylko przywileje.

Usuwa się zaś z pod wszystkiego, co jest w niej odpowiedzialnością, poczuciem konieczności i wolnych względem niej obowiązków.

Bierze się, słowem, to, co jest w postępowości nową szlachetczyzną, odrzuca się zaś, co nowym jest szlachectwem.

Dlatego też tak wiele jest u nas postępowej młodzieży, wśród której dziś to popłaca (najbardziej bodaj!), i tak znikomo mało postępowego społeczeństwa.



„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.